Rok I. Kraków, dnia 20 Czerwca 1882 r. Nr. 6.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

Od Redakcji.

„Przegląd artystyczny i literacki" wychodzić będzie jak dotąd na tych samych warunkach i w tym samym formacie.

Zaraz po ukończeniu drukującej się powieści pomieścimy dwie nowelle oryginalne: pierwszą pióra znanej zaszczytnie powieściopisarki pani **Walerji Marrené**, drugą ulubionego pisarza p. **Michała Bałuckiego**. Mamy również przygotowaną śliczną nowellę z życia Dantego pióra **Elizy Polko**.

Szkice i rysunki stale do każdego Nru, **autografy** zaś przynajmniej raz na miesiąc jako nadzwyczajny dodatek dołączać będziemy.

Upraszamy o wczesne odnowienie prenumeraty.

Wszyscy nowi prenumeratorowie otrzymają bezpłatnie trzy ostatnie Nra z początkiem drukującej się powieści.

Administracja poszukuje i nabywa pierwszy Nr. „Przeglądu" (z 5 Kwietnia), jako zupełnie wyczerpany.

Nasze dzieci.

Pozwolisz redaktorze, że zajmę parę szpalt twego «Przeglądu» pogadanką o dzieciach.

Wszakże to przyszłe podpory kraju, nadzieje ojców i matek.

Czy jednak można mówić o tem, co już nie istnieje?

Tak jest: niema już dzieci — to fakt.

I to także należy do postępu.

Oddawna już małych dziewczynek nie było wcale, jeszcze chłopcy pozostali. Teraz i oni znikają.

Spotykamy wprawdzie wszędzie jeszcze małych bębnów, wzrostu dwóch albo trzech stóp; ale dziecko dawnych czasów, dziecko zamorusane konfiturami, ruchliwe, hałaśliwe, wykradające łakocie i jabłka, dziecko takie jakiemi byli ojcowie nasi, nie istnieje już wcale.

Były już małe panie, teraz mamy małych panów.

Nawet i cygara są już dla nich. Te malce palą jakieś liście różane zawinięte w papier. Kaszlą, żeby się starszymi wydawać,

Z magazynów krawieckich ci mali panowie wychodzą przebrani za szkotów, za szlachtę francuzką czy hiszpańską dawnego czasu, za marynarzy. Pokrywają ich jedwabiem i aksamitem, szpikują wstążkami, i takoporządzonych wysyłają na wizyty.

KRONIKA.

Kolega Teleżyński i traktat o mące. Olejki nadające woń kwiatom. P. Koźmian zdobywa Petersburg przy pomocy p. Hofmanowej. Korespondent Gazety Lwowskiej. Kilka słów o wykręcaniu się, opatrzonych przypiskami.

Od kolegi Teleżyńskiego — bo sam *Czasu* nie czytuję [1]) — dowiedziałem się, że p. J. Rostafiński umieścił w nim obszerny artykuł o «Zieleni.» Postawionem tam być ma przypuszczenie, że «w obec postępów chemji, wobec mnóstwa ludzi poświęcających się nauce dla nauki, może wkrótce zjawi się ktoś dość szczęśliwy, który stworzy pierwszą garść mąki.» Wierząc słowom uczonego profesora, z którym się nie zgadzam jedynie na punkcie ograbienia z grabiny ogrodu botanicznego, pozwolę sobie jednak zwrócić jego uwagę, że nie dość mieć mąkę, ale trzeba z niej jeszcze chleb upiec. Otóż zdaje mi się, że «nie będzie z tej mąki chleba.»

Pessymizm ten powstał ztąd, że na wszystkich polach mamy dużo mąki, a chleba doczekać się nie możemy.

«Roślina — mówi prof. R. (wszystko to wiem od kolegi Teleżyńskiego—bo sam *Czasu* nie czytuję), zbudowawszy raz z martwych pierwiastków mąkę, zamienia ją potem życiowym procesem na swoje, ciała robi z niej: błonę, drewno, korę, łyko, korek, cukier, gumy, oleje, żywice, sok mleczny, kauczuk, olejki nadające woń kwiatom itd.» Uznając Galicję także jako roślinę, która z martwych pierwiastków zbudowała sobie mąkę-autonomję, a z niej powinna zrobić: dobrobyt, oświatę, przemysł, handel, łączność narodową, miłość i zgodę stanów — widzę ze smutkiem, że zrobiła dotąd tylko: łyko (politykę austrjacką) i olejki nadające woń kwiatom (ministrów — rodaków i szambelanów).

Również od kolegi Teleżyńskiego — bo sam *Czasu* nie czytuję — dowiedziałem się że w telegramach jego «stało» o dymisji Ignatiewa i zastąpieniu go Tołstojem. Ignatiew miał tylko skórę *i gnaty*, Tołstoj za to jest *tłusty*, toby kazało się spodziewać, że z mąki moskiewskiej będzie pociecha. O ile jednak prywatne moje wiadomości sięgają, to zamiast błon, drewna, kory, cukru itd. mąka moskiewska wyda tylko parę paczek dynamitu, kilkaset roślin włóknistych (cnutus ordinarius) kilkanaście tysięcy potwarzy (mordoclapitas catzapiana) i niezliczoną ilość raków, toczących moskiewskie społeczeństwo, których główny gatunek zowie się: denuntiator [2]). Zeszły minister usunął nawet «olejki nadające woń kwiatom,» nadesławszy ich przeszło 20.000 sztuk franco do Brodów. Ponieważ tychże już połowa wyjechała «za zaliczką» do Ameryki, wypada sobie życzyć, aby resztę «frachtem» retour, na

[1]) Blaga. Sam widziałem jak kronikarz kupował «Czas» za 10 centów. Przypisek zecera.

[2]) Odmiana jego: denuntiator generosus bawi w Krakowie.

A tam z kapeluszem w ręku i włosami ufryzowanemi, rozczulają matki swoje, a nudzą gości.

Ażeby przyuczyć ich wcześnie do mowy salonowej dają dla nich bale, gdzie mają rozwinąć całą swoją grację, wykwintność i galanterję. Mały pan hrabia tańczy z niedorosłą księżniczką, a pan baronek klnie się na honor, że nie cierpi ciastek.

Na takie uroczystości daje się im sztywne kołnierzyki, fryzuje się ich, oblewa pachniącemi wódkami, uczy się ich kłaniać i prowadzi do salonu naszpikowanych szpilkami jak lalki.

Te młode nadzieje nie śmieją ciągle się bawić, godność nie dozwala im tego. Ale za to znajduje się pomiędzy niemi kilku filozofów znudzonych światem. Spleen zagnieździł się już pomiędzy niemi. Spotykamy pięcioletnich Byronów i trzechletnich Heinych.

Niektórzy z pomiędzy nich dają odpowiedzi, które zaledwie najdojrzalszy wiek mógłby upoważnić. Któregoś wieczora taki młody pan siedział pomiędzy talerzem z owocami i śliczną książką z obrazkami, milczący, w postawie para Anglji.

— Co ty tu robisz i dlaczego nie bawisz się z kolegami mój mały przyjacielu? — zapytała go gospodyni domu.

— Cierpię na obłąd duszy — odrzekł.

Smarkacz wart był rózgi.

Inny wychodząc żywo z salonu, w którym się bal dziecinny odbywa, bierze kolegę za rękę i mówi doń:

— Wystaw sobie Arturze, obiecała mi, że będzie tańczyć ze mną pierwszą polkę, a tańczy ją z Gustawem. Oh! kobiety, kobiety...

A posłuchaj tylko rozmów ich po skończeniu walca.

Dwóch Lowelasów, których głowy otoczone lokami niedochodzą poręczy fotelów, spacerują po salonie, trzymając się pod rękę.

— Zdawało mi się, że starasz się podobać Ludwice, — mówi jeden do drugiego — a tymczasem widzę, że bierzesz się do Zosi.

— Cóż chcesz — odpowiada tamten — Zosia ma cóś... cóś takiego co mnie zachwyca! Ja szaleję za nią.

I zrobił pół obrotu na piętach nucąc pod nosem.

«Szczęście tylko w niestałości.....»

Powinien był za to pójść klęczeć do kąta.

W tem obłąkaniu dziecinnem tak łatwo pleniącem się w cieplarniach modnego wychowania, małe dziewczynki nie dają się wyprzedzić małym chłopcom.

Jedna z nich zaproszoną była na tańcujący wieczorek, ale nie chciała przyjąć zaproszenia i kiedy ją przyjaciółka namawiała do tego, rzekła:

— Daj mi pokój, kanarek mój zdechł, ostatnie moje złudzenie znikło z nim razem.

Inna którą mała jej siostrzyczka namawiała do pójścia na wieczór, gdzie miano pokazywać latarnię czarnoksięzką, odezwała się z pogardliwą minką.

— Jakto? ty wierzysz jeszcze w latarnię czarnoksięzką?

Za pięć lat, jak będzie ich mieć czternaście, powie razem z Korynną:

— Jak to, ty wierzysz jeszcze w miłość?

Nie dalej jak miesiąc temu przysłuchałem się ciekawej rozmowie nauczyciela z 14 letnim wyrostkiem.

— Wie pan, mnie się nie podoba «Hołd puski.»

— Jakto? dlaczego?

— Matejko idealizuje, proszę pana. Przecież ten Zygmunt Stary to był niedołęga...

— Zkądżeś ty się dowiedział o tem?

— Słyszałem jak o tem mówił pan Antoni. Powiedział, że nowa szkoła historyczna zrywa z ckliwem uwielbieniem przeszłości, a Zygmunta dawno uznała za niedołężnego monarchę...

Nawiasem mówiąc ten pan Antoni to filozof z pierwszego roku.

Inny przykład dojrzałości.

Znajomy mój zastał pewnego razu syna najmłodszego, bijącego się na pięście z jakimś kolegą. Dwóch dzieciaków z rękami założonemi przypatrywało się poważnie pojedynkowi. Walka ta miała miejsce za starym parawanem.

We czterech razem ci panowie mogli liczyć trzydzieści lat.

— Co robicie? — zawołał ojciec na walczących, którzy się tłukli najsumienniej.

— To jest pojedynek mój ojcze! — odrzekł syn.

— Jak to pojedynek?

— Tak jest. Ten pan jest innego odemnie zdania. To mi drażni nerwy i wyzwałem go.

— A ja przyjąłem — odrzekł tamten.

— Bardzo dobrze, ale w nagrodę waszej waleczności nie będziecie jedli leguminy na obiad — rzekł na to ojciec.

Ale najstraszniejszem z tego wszystkiego, jak mi ów ojciec rozpowiadał, że jeden z nich miał oko podbite, a drugi nos za-

---

«miejsce zamieszkania oddawcy» odesłano. Inaczej z tej mąki będziemy mieli chleb, ale który kością w gardle stanąć może i nawet za pomocą wody morszyńskiej usunąć się nie da.

Jeszcze raz od kolegi Teleżyńskiego — bo sam *Czasu* nie czytuję — dowiedziałem się o tryumfach trupy krakowskiej w Pawłowsku pod Petersburgiem. Dopiero dziś wychodzi na jaw, że nasz «lügendes Capital» dał śmiertelnego kuksa w bok Moskalom. Zniósłszy się z pp. Kalnokym, Dunajewskim, Bismarkiem i z p. Łukowiczem postanowił obudzić sympatje dla Polaków pomiędzy mieszkańcami Petersburga. Nie ulega wątpliwości, że sama panna Stachowiczówna przerobi ich przynajmniej kilka tuzinów na polskie kopyto, a co już pani Hofmanowa to ta szturmem zdobędzie kilka bataljonów gwardji, nie licząc już panny Pysznikównej, co im pysznie w głowach pozawraca. Pan Żelazowski wziął na siebie obrabianie młodych matek ruskich, aby te w dzieci swoje wpajały miłość do... polskich baletniczek z Warszawy. Dodawszy do tego, że p. Wojdałowicz swoim komizmem stare baby rozbroi, a Tołstojowi bólu brzucha ze śmiechu napędzi — musimy uważać pomysł ten propagandy za nadzwyczaj szczęśliwy, tembardziej, że nic nie kosztuje, a dyrekcji teatru zaoszczędza znaczną sumkę pieniężną. Rezultatem tej «akcji» będzie podminowanie panrusycyzmu, a w razie wojny Rossji z Austrją ta ostatnia na silne stronnictwo w Petersburgu liczyć będzie mogła.

Jeżeli jednak Gazeta Lwowska liczy na znajomość stosunków i rzeczy korespondenta z Krakowa, to mogłaby otrzymać medal na konkursie naiwności. Korespondent ów odkrył rodowód Przeglądu, który się narodził według niego ni mniej ni więcej jak z Gazety Krakowskiej i żywi skrytobójcze zamiary względem «Przeglądu polskiego.» Pomijając już czy może się coś wogóle urodzić z Gazety Krakowskiej, a tembardziej czy może się urodzić z wiewiórki kuropatwa lub z dudka karaś — podziwiać należy pomysłowość korespondenta każącego naszemu pismu staczać boje z Przeglądem Polskim. Granice tych dwóch mocarstw bibulastych leżą tak daleko od siebie, jak korespondent Gazety Lwowskiej od znajomości spraw krakowskich, a ztąd walkę między niemi o prenumeratorów policzyć trzeba na karb (że się grzecznie wyrażę) bujnej fantazji korespondenta. Oj, nie będzie miała chleba Gazeta Lwowska z tej mąki krakowskiej!

Wątpię także, aby mógł mieć ze mnie pociechę p. K. Bartoszewicz, który prosił mnie o delikatną reklamę dla swoich wydawnictw, motywując tem, że kiedy każdy żyd wydawca ma swoich literatów reklamujących jego tandetne wydawnictwa, to wypadałoby, aby panowie literaci zdobyli się i na reklamę dla innych wydawców. Uwaga całkiem słuszna, podzielam ją, a mimo to pragnąłbym się od tej usługi wykręcić.

Nastały jednak na nieszczęście czasy [1],

[1]) Czas, drugi przypadek: czasu. Pod tym tytułem wychodzi w Krakowie pismo polityczne. Każde pismo

krwawiony, żaden jednak nie płakał. «Miałem ochotę krzyknąć na nich: Płaczcie że bębny!»

Wolę ja to prawdziwe dziecko, dziecko tradycjonalne, leniwe, łakome, samolubne, którego gdy się pytano dlaczego nie płacze, kiedy ojciec w podróż wyjechał, rzekło.

— Teraz muszę zjeść śniadanie, jak skończę będę płakał.

Widać, że jeszcze nie znał sztuki udawania.

A teraz niech mi będzie wolno wyznać prawdę, którą może kto za paradoks weźmie.

Jakiś poeta, nie pamiętam który, rzekł:

«Najpewniejszem schronieniem matczyne jest łono.»

Mnie się zdaje, nie obrażając nikogo, iż to zbyt poetyczne twierdzenie.

Przed nim i po nim wielu już innych mówiło o sercu matek, jako o arcydziele stworzenia.

Możnaby całą kulę ziemską opasać wszystkiemi wierszami spisanemi w tym przedmiocie.

A jednak niech wybaczą mi poeci, ale matki, jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej w wielkiej liczbie, są katami własnych swoich dzieci.

Proszę się nie gorszyć i nie krzyczeć zbyt na mnie. Trzeba przypatrywać się rzeczom spokojnie. Potem możecie skazać na spalenie, jeżeli chcecie autora tego niewinnego twierdzenia, ale słuchajcie dowodów:

Naprzykład nadchodzi niedziela. Rodziny myślą o spoczynku, i jeżeli czas na to pozwala. jeżeli niema ani deszczu, ani wiatru, ani śniegu, co się rzadko zdarza, niektóre z nich wybierają się na spacer. Stroją się więc dorośli i dzieci.

Tu się rozpoczyna pradziwe męczeństwo.

Józio przebiera się za marynarza.

Staś stroi się w kołnierz à la Valois.

Wyglądają prześlicznie, wspaniale, promieniejąco; matka najszczęśliwsza w świecie, zachwyconą jest własnem swojem dzieckiem. Wychodzą.

— Józiu, strzeż się!

— Stasiu, uważaj!

— Nie gnieć kołnierzyków!

— Nie niszcz kapelusza!

— Nie biegaj!

— Nie skacz!

— Zawalasz się!

— Cały jesteś zabłocony!

— Patrzajże smarkaczu, gdzie stawiasz nogi!

— Ty smarkaczu!

— Ty bębnie nieznośny!

I takie gderania trwają trzy albo cztery godziny, bez żadnej przerwy.

Ta matka ubrała dzieci dla siebie samej tylko, są one utrzymywane dla niej, przystrojone dla niej jednej. To mało prawie. A jeżeli z tem wszystkiem będą mogły się bawić, niech się bawią.

Na tem cała sztuka zależy, żeby dzieci te wyglądały jak lalki. Nawet źle jest, że w tak drażliwych okolicznościach posiadają ręce i nogi. Powinnyby one być wprost tylko automatami na sprężynach.

Naturalnym wypływem tej wielkiej miłości jest, że dziecko staje się bardzo nieszczęśliwem.

Męczarnia, którą te nieszczęśliwe istoty wytrzymać muszą na spacerze, powtarza się znów na balu, ale z podwójną siłą. Pod żadnym pozorem dziecko nie powinno się bawić dla siebie samego, to jest nie wolno mu ani skakać, ani biegać, ani figlować, pozbawione jest wolnego użytku członków.

Powinno ono chodzić, kłaniać się, zaokrąglać łokcie, podług «zwyczajów światowych.»

A jeżeli się nudzi, to już chyba jego własna w tem wina. Kołnierz i mankietki są bez żadnego zagięcia. Zdawałoby się, że dopiero co wyszły z pudełka. Matka tryumfująca jest w zachwycie.

Możnaby je pochwalić: «Co to za prześliczne marjonetki.»

Toż samo męczeństwo w wyższym jeszcze stopniu wznawia się na wsi.

Może ktoś pomyśli sobie, iż życie na wsi powinnoby więcej nastręczać wolności i że tam dzieci nie uwłaczając zbytecznie swojej powadze, mogą się bawić cokolwiek.

A ja twierdzę, że nie.

Chybaście zapomnieli, że ich pani matka znajdując się na wsi oddaje wizyty. Dzieci więc są przystrojone jakby jakie świętości. Powinny być pięknie przystrojone, żeby ci, u których była z wizytą mogli powiedzieć po ich odejściu: «To są wybornie wychowane dzieci!»

Jeżeli naprzykład Pawełek ma ochotę tarzać się gdzie w sianie, dostaje natychmiast rozkaz spacerowania małemi i odmierzonemi krokami w jakiej ogrodowej alei.

---

w których wykręcanie się jest coraz więcej trudnem. Jak pan Włodzimierz Naumowicz zaczął się wykręcać w procesie lwowskim, tak wpadł z deszczu [2]) pod rynnę i p. prokurator wcale otwarcie, choć nieładnie [3]), nazwał jego czynności. Kręcił coś magistrat nasz z Towarzystwem Dessauskiem, aż wykręcił dalsze panowanie tego Towarzystwa w Krakowie, lubo jeden z radców gwałtem domagał się nafty, choć olej bardziejby mu się w tym razie przydał. Kręcą coś koło przeprowadzenia tramwaju po prawej stronie ulicy Florjańskiej, aż wykręcą właścicielom domów prawdziwą biedę, bo węgle, drzewo i kartofle balonami [4]) chyba sprowadzać będą musieli, nie mogąc z niemi zajeżdżać przed kamienicę. Tak długo kręcił się «mecenas od czytania za darmochę,» aż go redaktor «Przeglądu,» drukując niedyskretnie list [5]) mój w zeszłym Nrze, wkręcił do kroniki i zbabrał serdecznie.

Otóż niechcąc się wykręcać, zapowiadam najmilszemu wydawcy reklamę na później, a kończąc krótką kronikę radzę szanownym prenumeratorom krakowskim iść za moim przykładem: przewieźć się przez Wisłę [6]), użyć świeżego powietrza, co lepiej zrobi niż czytanie mojej kroniki i zjeść sobie porcję «mleka kwaśnego prosto od krowy» jak przeczytałem przy wejściu do jednego zawiślańskiego ogródka.

K. B.

jest drukowane. Druk dzieł Krasickiego rozpoczęła księgarnia p. K. Bartoszewicza w Krakowie. Prenumerata niezmiernie tania wynosi 3 złr. za 5 tomów.

[2]) Woda deszczowa bardzo dobrą jest do prania. W ogóle woda jest nadzwyczaj pożyteczną, ztąd to o nią się starają młodzi poeci, których wiersze nadzwyczaj są wodniste. Nie było wody w pismach Skargi, Mickiewicza, Krasickiego, Kochanowskiego. Tego ostatniego dzieła wydaje księgarnia K. Bartoszewicza w Krakowie w cenie prenumeracyjnej 2 złr. 40 ct. za 4 tomy.

[3]) Ładnie, a nawet prześlicznie pisał Juljusz Słowacki, którego dzieła w taniem wydaniu można dostać w księgarni K. Bartoszewicza, za 5 tomów 4 złr.

[4]) O balonach nadzwyczaj dowcipną fraszkę napisał Jan Kochanowski. Dzieła Kochanowskiego, powtarzamy, wydaje bardzo tanio p. K. Bartoszewicz.

[5]) Znakomite listy pod względem myśli i humoru pisał ks. biskup warmiński Ignacy Krasicki. Dzieła jego wydaje p. K. Bartoszewicz. Szczegóły w inseratach «Przeglądu.»

[6]) O Wiśle jest wzmianka w mającym wyjść za dni parę «Przewodniku po Krakowie,» nakładem p. K. Bartoszewicza.

ECHA.

Wystawa szkiców urządzona przez p. Juljusza Miena ma cel dwojaki: ułatwić zbyt drobnych prac niekwalifikujących się na wystawę Towarzystwa S. P. i uprzystępnić publiczności niezaglądającej do pracowni malarskich nabycie mniej lub więcej artystycznych drobnostek. Myśl to bardzo dobra, spaczona o tyle, o ile widzimy na wystawie szkice kandydatów na artystów, którzy jeszcze z żadną skończoną pracą nie wystąpili. Nam się zdaje, że p. Mien powinien ograniczyć się tylko na skończonych obrazkach, a występować ze szkicami jedynie Matejki, Siemiradzkiego, a choćby Zmurki

Jeżeli Józio ma ochotę wleźć na drzewo, matka każe Józiowi nie odstępować na krok od wujaszka.

A niech nikt nie waży się wspomnieć o huśtawce albo grach jakich. To są zabawy niezdrowe, a nadewszystko można przy nich powalać ubiór.

Dzieci zapominają zawsze, że stanowią część wyprawy. Co za czarna niewdzięczność!

Pokazuje się je gościom, jak szale tureckie albo klejnoty.

Przed chwilą przytaczałem ten wiersz:

«Najpewniejszem schronieniem matczyne jest łono.»

Niechnoby dziecko próbowało udać się do tego schronienia podczas balu i kiedy pani matka jest wystrojoną.

Zobaczylibyśmy jakby je przyjęto.

Owe najpewniejsze skronienie przekształciłoby się dla niego na *carcere duro*.

A smarkaczu, nieznośny bębnie, czy ty nie widzisz, że możesz pognieść najpewniejsze schronienie! Jakaż wina wyrówna tej niezgrabności. To jest zbrodnia obrazy wstążek! Żadna kara nie będzie dostateczną za takie przewinienie!

Najpewniejsze schronienie wtenczas dopiero staje się pewnem, kiedy twoja pani matka jest w szlafroczku; nie zapominaj o tem.

I jeszcze trzeba dodać, jeżeli ten szlafroczek nie jest nowo sprawiony.

Ale skończmy już ten niebezpieczny artykuł. Ileż pięknych rąk gotowe ukamienować nierozważnego obrońcę zuchwałego twierdzenia. *S.*

MILJONOWA PANNA.

Historyjka, jakich wiele.

PRZEZ

L. K.

II.

(Ciąg dalszy).

Pana Jadwiga przez cały ten dzień była tak milczącą i roztargnioną, że zniecierpliwiło to nareszcie ciotkę, która jej rzekła:

— Co to jest, moja Jadwisiu? Już trzeci raz odpowiadasz mi ni w pięć ni w dziewięć... nawet nie słuchasz, co ci mówię... Co to znaczy, powiedz mi?..

— To znaczy, moja droga ciociu, — odpowiedziała panna Jadwiga łagodnie, ale stanowczo, iż zdaje mi się, że podobno znalazłam już swój ideał...

— Co??... Ten... ten muzykant z nieczesaną brodą?... Tego ci tylko jeszcze brakło!..

Ale panna Jadwiga nie chciała słuchać «reprymandy,» bo natychmiast wyszła — a pani baronowa pozostała na miejscu jak rażona piorunem...

Koniec końców panna 25-letnia i niezależna miała przecież prawo rozporządzać swym losem... Nikt nie mógł narzucać jej swojej woli, zwłaszcza w sposób szorstki. Należało coś działać, ale działać ostrożnie, zręcznie, użyć strategii, gdy nie można zdobyć pozycji szturmem...

Pani baronowa długo rozmyślała nad tym przedmiotem, układając plan działania... Postanowiła nareszcie korzystać o ile możności ze wszystkich owych małych zmian, jakie zaszły w charakterze «marzycielki» przez pięć lat pobytu w mieście. Trzeba obudzić w niej powoli drażliwość mijonowej panny, sztucznie wzniecić próżność i pychę, których zarodki w tajnikach duszy siostrzenicy biegłe oko ciotki dostrzegło...

— Jakoś to będzie! Na wszystko są sposoby!.. zakończyła swe rozmysły pani baronowa z uśmiechem zadowolenia.

Jakoż, gdy nazajutrz zeszła się z siostrzenicą, baronowa, zamiast dąsać się na nią, lub okazywać zmartwienie, przywitała ją z pogodnem czołem, jak gdyby nic zgoła nie zaszło; postanowiła bowiem udawać, że nie przyjęła na serjo słów Jadwigi, że uważa je za dziecińśtwo, za żart, który trwać długo, ani też doniosłości mieć nie może. Panna Jadwiga zaś, która oczekiwała burzy i do walki przygotowaną była, została przyjemnie zdziwioną sposobem zachowywania się ciotki, lżej zrobiło się jej na sercu i chętnie żarty zaczęła odpłacać żartami...

Tymczasem tegoż dnia wieczorem pani baronowa urządziła sobie inter-wiew z hrabią Alfonsem w pewnym znajomym sobie domu. Wtajemniczyła ona «przyszłego swojego siostrzeńca» we wszystkie swe plany i zyskała jego przyrzeczenie, że będzie się do nich stosował...

Hrabia Fąsio pragnął koniecznie ożenić się. W jego rodzinie wszyscy żenili się w latach trzydziestu; stało się to już pewnego rodzaju tradycją tamilijną, a hr. Fąsio przywykł od dzieciństwa szanować wszelkie tradycje. Powziął on zamiar ożenienie się z Jadwigą, ponieważ znajdował ją dość ładną, a posag jej uznawał za «przyzwoity.» Że panna nie miała dla niego sympatji

---

Ajdukiewicza, ktorzy już coś zrobili na polu sztuki i ztąd pomysły ich (bo niczem więcej szkice nie są) interesować mogą. Rozmaici zaś Bazgralscy lub Częstochowscy niech naprzód nauczą się rysować i malować.....

Wypowiadamy otwarcie, co o tej sprawie myślimy, boć znaną jest rzeczą jak często wielkie nawet talenta wczesnemi pochwałami psują się i marnieją. Co chwila wyskakuje nowy Grottger, nowy Matejko, którzy po latach kilku lub kilkunastu okazują się... malarzami pokojowymi.

Na wystawie p. Miena widzimy pyszny szkic mistrza Jana do bitwy pod Wiedniem. O ile można sądzić ze szkicu, to obraz ten bez porównania wyżej stanie od Grunwaldu.

Siemiradzkiego szkic do obrazu «Wazon czy kobieta» jest tak piękny, że długo odeń oczu oderwać nie można. Nie szkic to właściwie a podkończony obrazek, przepyszny w tonie i traktowaniu ciała.

Znawcy wielkie pochwały oddają szkicowi Żmurki. Jestto pomysł, z ktorego niewiadomo co jeszcze będzie, ale rzucony śmiało, wprawnie, ma dla artysty rzeczywistą wartość, której może zwyczajny śmiertelnik nie zrozumie.

Bardzo dobrą jest paleta p. Zygmunta Ajdukiewicza i wcale niezły obrazek jego: Gerwazy. Za to Arab drugiego p. Ajdukiewicza jest słaby i konwencjonalny.

Dwie palety p. Pochwalskiego: główka kobieca i jakiś amorek z żabami są wdzięczne i smacznie malowane.

Karykatury p. Kruszewskiego, zwłasza żyd romansujący ze starą żydówką, posiadają wiele humoru i oryginalności.

Wymienić jeszcze należy kilka dobrych studjów p. Hipolita Lipińskiego, głowę kobiety p. Krzesza, akwarelle Fałata, kilka główek p. Eysmonta i dzielnie naszkicowany portrecik czy studjum p. Rossowskiego.

Panu Kaszewskiemu trafił się niemiły przypadek.

Po wystawieniu Tarfuffa Molierowskiego w Warszawie p. K. umieścił w Kłosach sprawozdanie z przedstawienia porzedzając je ogólnemi uwagami nad Molierem i jego Świętoszkiem. Był to rodzaj szkicu krytycznego napisanego bardzo wytrawnie. Tymczasem p. Józefowi Ludwikowi Dąbrowskiemu wpadła w ręce monografija Guizota o Menandrze drukowana w Paryżu w r. 1855 i przeglądając ją zrobił spostrzeżenie, że Guizot musiał widocznie czytać recenzję p. Kaszewskiego w Kłosach i nie zaniedbał z niej skorzystać. Oto przykład:

P. Kaszewski pisze:	Guizot zaś:
Pochodzi on z prostej linji od starej opowieści francuzkiej znanej pod nazwą Roman de la Rose Papelardie. W spadku po braciszku Timoteo Machiawela otrzymał on swą niebezpieczną moralność, tę giętką mowę, która potrafi wynajdywać układy z niebem i t. d.	Tarfuffe descende en ligne directe de la Papelardie du Roman de la Rose. Il a reçu en héritage du Fratre Timoteo de Machiavel, sa dangereuse morale et son langage souple qui trouve avec le ciel des accomcdements etc.

Takich przykładów korzystania Guizota z recenzji p. Kaszewskiego przytacza p. D. cały szereg.

Niemiła to, powtarzamy, przygoda.

— dziwiło go to bardzo, zdumiewało niemal, ale nie zniechęcało wcale. Głowa jego nie odznaczała się ani zdolnością inicjatywy, ani obfitością idei, ale skoro raz myśl jakaś w niej się rozsiadła, trudno już było usunąć ją ztamtąd. Zresztą przez całe życie obijały się o uszy pana Alfonsa rozumowania, że w małżeństwie miłość może sobie istnieć, albo nieistnieć, gdyż niezbędną zgoła nie jest. Jedna nawet z jego ciotek, (dla której miał hr. Alfons szacunek szczególny za jej dystynkcję i pobożność) utrzymywała zawsze, że te właśnie stadła najszczęśliwszemi są w pożyciu, w których obustronnie panuje «przyzwoita obojętność.» Zasada ta bardzo trafiała do przekonania Fąsiowi i zgadzał się z nią (zapewne pod wpływem szacunku dla «dystyngwowanej i pobożnej» cioci) tak dalece, że w swych pogadankach poufnych z «dystyngwowaną» młodzieżą — dość zresztą rzadkich, bo wywnętrzać się przed nikim nie lubił — dał się słyszeć parę razy z tem, że gorącość uczuć można składać chyba u nóg jakiej koryfejki baletu, wraz z podarunkami podejrzanego smaku, unikać zaś trzeba stanowczo tych «trywijalności» w stosunku z osobą przyzwoitą, którą ma się zamiar nazwać żoną.

Też same więc stosując zasady do «sprawy» z panną Jadwigą, nie przestraszył się wcale tem, co ciotka o niej mówiła, nie zmienił nawet ani na chwilę wyrazu swej zimnej twarzy. Ufał, że się z panną koniec końców ożeni, skoro ma za sobą tak zręcznego sprzymierzeńca jak ciotka — i to mu wystarczało w zupełności. Przyrzekł, że będzie czynił, co mu baronowa zaleci — i był spokojnym.

Pierwszym wynikiem tajemnej narady baronowej z hrabią Alfonsem był pyszny bukiet swieżych azalij, który nazajutrz rano został przysłany pannie Jadwidze bez żadnej karty wizytowej. Nasza «marzycielka» bardzo lubiła kwiaty w ogóle, a azalije w szczególności. Bukiet umieszczony został na najwidoczniejszem miejscu w tym salonie, w którym miała się odbyć próba z Panem Feliksem. Pani baronowa aż musiała się odwrócić, aby ukryć nieostrożny uśmiech, wywołany widokiem, jak czułem okiem jej siostrzenica spoglądała na bukiet i jak często zbliżała się doń, aby się nacieszyć pięknością i wonią azalij...

Pan Feliks ze swej strony czekał godziny próby z niecierpliwością, z przyśpieszonem biciem serca. Doświadczał już wzruszeń nieraz, nieraz mniemał, że jest zakochanym, bo gorące serce artysty szukało instynktowo burz. Ale czyste wejrzenie modrych oczu Jadwigi i malująca się w nich otwarcie sympatja, wprawiały biednego «muzykanta» w taki zachwyt, który nie był podobnym do poprzednich wzruszeń jego serca. Żywił on dla tej dziewicy, tak doskonale rozumiejącej jego natchnienia artystyczne, — szacunek głęboki i jakieś nowe uczucie, którego nie znał przedtem. Jako artysta kochał już, lecz jako człowiek nie śmiał jeszcze przyznać się do tego przed samym sobą. Wiedział, że panna Jadwiga jest bardzo bogatą, lecz słyszał i o tem także, że ona nie chce być wydaną za mąż tak, jak to czynią zazwyczaj panny wielkiego świata, że marzy o związku innej natury, niż zwykły w tym świecie związek dwóch worków złota. Wszystko to silnie interesowało młodzieńca. Nie mówił on jeszcze sobie: «Chciałbym z nią się ożenić,» ale już wyznawał sam przed sobą, że znajduje ją zachwycającą. Artysta, czujący wyższe natchnienia, znał swoją wartość, nie straszył go więc ów miljon, o którym nasłuchał się tyle. Zresztą był on ideologiem, najniepraktyczniejszym w świecie i prawie naiwnym w swem niedoświadczeniu, zdawało mu się tedy, że słusznem jest i zupełnie naturalnem, aby bogate dziedziczki miały sobie za chlubę wychodzić za mąż za ludzi genjalnych, którzy im czynią zaszczyt, kochając je.

Jakoż w danej chwili różowy świt nadziei pana Feliksa mógłby był w słoneczną zabłysnąć jasność, gdyby serduszko panny Jadwigi było dlań otwartą księgą. Bohaterka nasza bowiem z dziwnym zapałem oddała się zrazu urzeczywistnieniu marzeń swoich, — wykwitającemu w duszy uczuciu pierwszej miłości. Tak, pierwszej! Bo chociaż przed laty dziesięciu młodziuteńkiej naówczas, ledwie wychodzącej z obsłonek dziecięcych, a już trochę «romansowej» Jadwisi zdawało się raz, że się kocha w swoim czterdziestoletnim już prawie i bardzo poważnym nauczycielu muzyki (widocznie, że muzyce danem było odegrać w życiu panny Jadwigi niepospolitą rolę) lecz uczucie to było tego rodzaju, że w mglistej perspektywie lat dzieciństwem i śmiesznością prawie wydawać się dziś musiało pannie dojrzałej, zwłaszcza, że przedmiot jej ówczesnych westchnień nic nawet nie wiedział o przychylnych dla siebie sentymentach rozmarzonego podlotka. Nie bez słuszności tedy owe dziecinne uczucie «nie pisało się nawet w rejestr» we wspomnieniach dzisiejszej panny Jadwigi. Od owego zaś czasu liczna galerja młodych ludzi, których panna Jadwiga na swej drodze spotykała, mijała przed jej oczami bez śladu, żadnego zgoła nie wywierając na nią wrażenia. Owszem powiedziećby można, że wywierała wrażenie ujemne, bo sama myśl przelotna, aby któregokolwiek z nich wybrać za towarzysza życia, niewypowiedzianym przejmowała ją wstrętem. Już nawet czasami poczynała przypuszczać nasza «marzycielka,» że natura obdarzyła

---

My o tyle tylko czujemy zadowolenie, że już przed sześciu laty, kiedy przyjaciele proponowali p. Kaszewskiego na katedrę filozofji w Krakowie, mocno powątpiewaliśmy w «Szkicach» o jego nauce filozoficznej i głębokim krytycyzmie, przyznając mu wielkie zalety jako tłómaczowi. A że tłómaczyć umie... nowy dowód na« Świętoszku.»

O! wielkości warszawskie!

Odwrotna stona medalu.

Czytając szumne opisy niesłychanego powodzenia trupy krakowskiej w Pawłowsku, nabraliśmy przekonania, że «uciekinierom» naszym Newa miodem i mlekiem płynie. Dowiadujemy się tymczasem z listów prywatnych bardzo niewesołych rzeczy:

Bieda dokucza ogromnie. Drożyzna niesłychana. Najnędzniejszy pokój z pryczą zamiast łóżka kosztuje połowę gaży, która nawiasem mówiąc nieregularnie jest wypłacana. Przedsiębiorca nie przygotował mieszkań, tak, że w pierwszych dniach baletnicy przyjęli do siebie mężczyzn, a baletniczki kobiety. Jeden z artystów wyraża się: niezadługo żebrać pójdziemy, drugi kończy list słowy: jeżeli za tydzień nie będziemy w Krakowie, to jeszcze jeden list napiszę.

Dostaliśmy także do ręki Nowoje Wremia (Nowy Czas) które pisząc o pierwszem przedstawieniu wyraża się: «Mały pawłowski teatr nie bardzo był napełniony.»

Jakim sposobem podczas wędrówki tego artykułu z «Nowego» Czasu do starego «Czasu» teatr urósł, a publiczność «szczelnie» napełniła salę? — powinnaby wytłómaczyć Reforma, a nie powtarzać za panią matką pacierza, który ochrania tylko krakowskiego przedsiębiorcę teatralnego od zarzutu puszczenia na «zieloną trawę» tych, co na niego przez tyle lat ciężko pracowali.

---

† Ze Lwowa doszła nas bardzo smutna wiadomość o śmierci młodego historyka *Stanisława Łukasa.* Zmarły liczył dopiero lat 26, a już zwracał na siebie uwagę talentem i niepoślednią erudycją. Prace jego o «Erazmie Ciołku» i «Kronice Bernarda Wapowskiego» wiele zapowiadały. Pobyt w Paryżu oznajmił go z ciekawemi źródłami do dziejów Polski XVII. w. — wynikiem tego była rozprawa odczytana w Towarzystwie historyczno-literackiem w Paryżu, oraz bogate materjały zebrane do dziejów elekcji Michała Korybuta. Akademja Umiejętności oceniając działalność zmarłego przeznaczyła dlań stypendjum z fundacji Gałęzowskiego, z którego śmierć nie dozwoliła mu skorzystać. Pogrzeb Lukasa był świadectwem miłości kolegów i starszej braci w nauce. Przed liczną publicznością, postępującą za zwłokami niesiono wieńce od historyków krakowskich, młodzieży i od profesora Liskego z napisem: najdroższemu uczniowi. Nad grobem przemawiał E. Czerkawski.

«Przegląd» stracił w zmarłym współpracownika, objął on w nim bowiem stale dział krytyki dzieł historycznych, ale niespodziewana choroba wytrąciła mu pióro z ręki. Ostatnim może artykułem, jaki napisał przed śmiercią, była ocena dzieła Riebera, pomieszczona w Nrze 3 naszego «Przeglądu.»

ją sercem kamiennem, zamkniętem na wieki dla roskosznych wzruszeń miłości. Kiedy więc panna Jadwiga uczuła, że spojrzenie autora *Manfreda* przejmuje ją słodkim niepokojem, że każde słowo jego przyśpiesza bicie jej serca, a każda myśl o nim, każda nadzieja ujrzenia go, niewypowiedzianą przejmuje jej duszę roskoszą, to sam fakt, że jej serce zdolnem jest jeszcze doznawać podobnych wrażeń, tak ją uradował, jak gdyby drzwi raju otworzyły się przed nią nagle, tuż za prozaiczną portyerą jej buduaru. Wszystko w niej stało się śpiewem, weselem, swiatłem, wiosną... Słońce zdawało się jej jaśniejszem, niebo — błękitniejszem, ludzie — lepszymi, zasługującymi na pobłażanie... Nawet bruki warszawskie wydawały się jej teraz mniej brudnemi, nawet hr. Alfons, który przy każdej sposobności zwracał ku niej swe oko zbrojne monoklem, mniej banalnym i śmiesznym, i bodaj, czy nie godnym pewnego współczucia, bo przecież nie bez powodu tak stale i uporczywie wpatruje się w nią zawsze? Biedny Fąsio!..

Słowem panna Jadwiga owego pamiętnego wieczora, kiedy pod wrażeniem uściśnień dłoni pana Feliksa, oświadczyła wręcz ciotce, że «swój ideał podobno już znalazła», była tak szczęśliwą, jak w życiu swojem nie była nigdy!..

Ale stan szczęścia bezwzględnego nie trwa nigdy długo: gaśnie jak iskra, bo też i jest iskrą, odkradzioną u innych światów. Krótkotrwałość takich chwil jest także jednem z praw natury, która niezwykła rozpieszczać ludzi zbyt łagodnemi prawami. Stan szczęścia panny Jadwigi trwał jeden wieczór i jedną noc, która po tym wieczorze nastąpiła i przepędzoną była bezsennie.

Bezsenne noce, chociażby nawet szczęśliwe, zwykły sprawiać ból głowy; panna Jadwiga tedy wstała z bólem głowy i z pewnym niesmakiem moralnym, który fizycznemu bólowi najczęściej towarzyszy. Następnie — żartobliwy humor ciotki, który w początku dość naszej bohaterce dogadzał, jako dowód, że spodziewana burza rozwiała się i minęła, zaczął wkrótce razić ją, wydawać się szyderstwem, niemiłym dysonansem, psującym harmonję jej wczorajszego szczęścia, którego każdą chwilę profanował i parodyował swym zgrzytem. Broniła się wprawdzie tym przykrym wrażeniom jak mogła, okrywając w duchu pogardą «rozsądek» świata, którego reprezentantką była w tej chwili ciotka, a który zwykł mierzyć najwznioślejsze uczucia duszy miarą kieszeni, mnie lub więcej mieszczącej w sobie pieniędzy, lecz to wszysko nie zdołało już natchnąć jej serca błogim stanem wczorajszym, owszem było oznaką, że w tym stanie nastąpił już pewien rodzaj reakcji

Jakoż pan Feliks, który wkrótce nadszedł, a który w drodze zdobył się na postanowienie miarkowania objawów uczucia rozsądkiem, wydał się teraz pannie Jadwidze chłodniejszym jakimś i sztywniejszym, niż tego wymagała przyzwoitość. Na dobitkę muzyk odezwał się zbyt wyraźnie w panu Feliksie i wziął na chwilę górę nad człowiekiem. Panna Jadwiga śpiewała dziś mniej pewnym głosem niż zazwyczaj, kazał więc jej powtarzać pasaże raz po raz, tak sumiennie i pedantycznie, jak gdyby to była zwykła lekcja śpiewu i nic więcej. Niezupełnie zadowolona uczennica stała śpiewając, bardzo blizko swojego nauczyciela i spostrzegła (o fatalności!) kilka siwych włosów na jego głowie, co nawet doprowadziło ją w loicznym następstwie myśli do przypuszczeń czy czasem za lat kilka nie stanie się p. Feliks łysym? a trzeba wiedzieć, że nasza bohaterka miała jakiś wstręt niezwyciężony do łysin....

Wszystko tedy, jak widzimy, składało się fatalnie. Nieustanna obecność cioci w salonie krępowała i nauczyciela i uczennicę nieznośnie. Pani baronowa zaopatrzyła się na wszelki wypadek w pewien rodzaj lekkiego kaszelku, który ciągle im przypominał jej przytomność nieodłączną. Nasz artysta przytem, chociaż sam przed sobą nie przyznawał się do tego, czuł się jakoś dziwnie rozdrażnionym imponującą zbytkownością urządzenia tej ogromnej sali, w której próbę odbywał: zdawało mu się, że tu każdy sprzęt, każda fraszka wciąż mu szeptały szyderczo: «ona ma miljon, a tyś ubogi, biedaku!..» Pomimo więc szczerej pogardy dla pospolitej wyższości, jaką daje bogactwo, pan Feliks jakoś chłodniej patrzył tu na «czarodziejkę Alp,» niż kiedy ją widział w gronie chórzystek w skromniejszym nierównie saloniku pani Amelji. W tej chwili nie żywił już tak mocnego jak wczoraj przekonania, że jenjusz ma prawo z wysoka patrzeć na banknoty.

Po niejakim czasie jednakże, pomimo kaszelku pani baronowej, pan Feliks zapomniał o kosztownych złoceniach i palisandrowych meblach sali, panna Jadwiga zapomniała o kilku siwych włosach i ewentualnej *in futuro* łysinie pana Feliksa — i oboje stali się na chwilę czem byli wczoraj: dwojgiem młodych ludzi, czujących niezwyciężony ku sobie pociąg, kochających muzykę, a w niej i przez nią lubujących się w sobie nawzajem. Nastąpiła chwila, w której panna Jadwiga tyle uczucia, a nawet namiętności włożyła w to, co śpiewała, że dotychczasowy, lekki kaszelek cioci zmienił się nagle w straszliwy paroksyzm kaszlu, duszącego jak koklusz. Nie przeszkodziło to jednak p. Feliksowi, bez przerwania wprawdzie akompanjamentu, ale niemniej wybitnie i jasno wyrazić pięknej śpiewaczce zachwyt swój i uwielbienie szeregiem takich spojrzeń, pod wpływem których twarz jej kraśniała jak wiśnia, serce biło przyśpieszonem tętnem a oczy pałały całem niebem roskoszy!..

Skończył się nareszcie śpiew. Pan Feliks spojrzał na zegarek (badawcze oko cioci spostrzegło, że był srebrny i «tandetny») i wykrzyknął mimowoinie:

— Ach!.. Spóźnię się na lekcję!..

Mówiąc to wziął za kapelusz, obejrzał się z widocznym żalem po tej sali wspaniałej, której jedyną dlań ozdobą była panna Jadwiga — i spostrzegłszy bukiet, stojący na gerydonie, zbliżył się doń machinalnie.

Serduszko panny Jadwigi podwoiło *tempo* bicia...

— Lubi pan kwiaty? zapytała... —które pan lubi najbardziej?..

— Wszystkie bez wyjątku, od egzotycznych aż do polowych. Nigdy też nie uczuwam w tak dotkliwy sposób mojego ubóstwa, jak w chwili, gdy przechodzę przed wystawą kwiatów, zbyt drogich, abym je mógł nabyć... Ten bukiet jest wspaniały i zazdroszczę temu, kto go mógł pani ofiarować.

Panna Jadwiga na te słowa zarumieniła się raptem i zbladła. Pani baronowa zaczęła kaszlać.

Artysta powiedział to bez żadnego zamiaru, byle coś powiedzieć i nie opuścić salonu w milczeniu. Nie mógł więc zrozumieć tym razem ani kaszlu cioci, ani nagłej zmiany w twarzy panny. Zastanowiwszy się zaś, wytłumaczył to sobie w sposób niezbyt dla siebie korzystny.

— Zapewne ich uderzyło nieprzyjemnie zbyt otwarte wyznanie mojego ubóstwa — pomyślał.

Po wyjściu jego — w salonie zapanowała chwila milczenia. Pani baronowa, którą gwałtowny kaszel natychmiast opuścił, patrzyła pilnie w okno, jakgdyby coś bardzo ciekawego spostrzegła w ulicy... A potem, zwracając się do siotrzenicy rzekła:

— Biedny twój «ideał» odbywa swe kursa po lekcjach piechotą. Teraz pobiegł wyciągniętym kłusem, jakby go kto pędził... Pewnie biedakowi dobrze ktoś głowę zmyje za to, że się spóźnił na opłaconą lekcję.

Panna Jadwiga, która w tej chwili błądziła różowemi paluszkami po klawiaturze fortepianu, spojrzała ostro na ciotkę i zerwała się, aby salon opuścić... We drzwiach spotkała pannę służącą, której rzekła:

— Wyrzuć ten bukiet, Julko!.. Zwiędły jest i brzydki: wyrzuć zaraz!..

I wyszła z chmurą na czole.

Ale nazajutrz rano znów się zjawił taki sam bukiet azalij... Rozgniewało to pannę Jadwigę na prawdę.

— Co za zuchwalstwo! — mówiła oburzona. Jakiś bezczelnik, którego znać nie chcę, śmie prześladować mię swojemi bukietami!.. Co mu się marzy, ciekawam?.. A ciocia, która tak doskonale wie, co przystoi, a co nie przystoi, pozwala służbie przyjmować te szkaradne bukiety!.. Wszak to mię kompromituje!..

Pani baronowa wytrzymała cierpliwie burzę. Nie powiedziała nawet, choć wielką czuła ku temu pokusę, że te skrupuły i to oburzenie godności w każdym razie są cokolwiek za spóźnione: czemu nie było ich wczoraj?.. Tak dalece powściągliwą była ciocia, że przyrzekła nie przyjmować więcej bukietów i zrobiła tylko pobieżną uwagę, że bukiet jest przepyszny i pewno bardzo drogi, co wywołało w pannie Jadwidze myśl gorżką, że biedny artysta, biegający «wyciągniętym kłusem» na lekcje, nie może się zdobyć na podobnie zbytkowy podarunek...

Ciocia uczuła w sobie ochotę do mówienia... Mówiła tedy dużo, ale przez długi czas sama, bo panna Jadwiga prawie jej nie słuchała... Aż dopiero, kiedy baronowa wpadła na temat domysłów: ktoby też mógł być tym winowajcą, który przysyła tak «drogie» bukiety, rozmowa ożywiła się nieco.

— A!.. już mam, już mam!.. Domyślam się — i powiem ci teraz na pewno! Oto onegdaj na wieczorze, kiedym gawędziła z hrabią Alfonsem (il est excellent radoteur, je t'assure!..), zapytywał mię raz, jakie ty lubisz kwiaty? To on, niezawodnie!.. Biedny! Jakże się zmartwi, że odrzucasz jego ofiarę!..

— A jednak — ja proszę cioci stanowczo, aby kwiatów nie przyjmowano... tembardziej teraz, kiedy już wiem od kogo pochodzą...

— Zapewne, zapewne... Jak chcesz, moje dziecię... Zresztą gotowam nawet uznać, że masz słuszność: podarunków nie przyjmuje się przed czasem... Ale przyznaj sama, że jego zachowanie jest bardzo szlachetne..: Co za delikatność! Quelle finesie!.. I co za męztwo!.. Powierzchowność spokojna, a w duszy cierpi... bo przecież — smutna to rzecz kochać bez nadziei!..

(C. d. n)

USTĘP
z księgi VI. DON ŻUANA
LORDA BYRONA
(Strofa 26—86).
przełożył **Edward Porębowicz.**
Ciąg dalszy.

57. Lecz czas już wrócić do dalszej narracji;
Zamknę ją w tem, co następuje: Dudu
Z miłą grzecznością lecz bez ostentacji,
Mówiąc niewiele (co liczę bo cudu),
W owym kobiecym labiryncie stacyi
Nie opuściła żadnej; wiele trudu
Kosztowało mię porównanie o tem:
„Kobieta niema jest... milczącym grzmotem.“

58. Potem skreśliła przed nią — mówię "przed nią“
Bo płeć jej była jak ukryta czarem
Na zewnątrz, słowa te więc nie są brednią —
Cywilizacyi szkic na Wschodzie starym
Wraz z praw czystością jego niepoślednią,
Na mocy których jeśli wzrasta harem,
To święciej gore jak Westalek ogień
Duch obowiązku haremowych bogiń

59. Pocałowała ją nakoniec w usta;
Całusek Dudu był znany, ba! słynny;
Zdołałby każde zadowolić gusta
Bo tak roskoszny był a tak niewinny...
Śród kobiet całus — cóż?... igraszka pusta!
Zawsze im nowy, słodki, choć nie inny...
„Całus“ ma związek z „ciałem“... Dosyć! nie chcę
Szukać pierwiastków, bo to zmysły łechce [1]).

60. Jęła rozpinać z naiwną prostotą
Suknie prędziuchno; Dudu była kwiatkiem
Natury i nie stroiła się w złoto,
A jeśli w lustro spojrzała ukradkiem
To jak ów łabędź, co igra z ochotą
Po fali.... aż cień swój ujrzy na gładkiem
Tle, zadrży... i znów piersią wodę porze
Dziwiąc się temu nurkowi w jeziorze.

61. Zdejmując jednę sukienkę za drugą
Kładła na stronę — a potem z kolei
Biegła do pięknej Joasi z usługą;
Joasia skromna z początku nie chce jéj
Pozwolić — jednak upór trwał niedługo,
Choć Dudu na grzeczności wyszła źle — i
Paluszek sobie skaleczyła szpilką
Co na skaranie mężczyzn widać tylko

62. Stworzone, bo z kobiety robią jeża
A śmiałek cofnie prędko ręce skłute; —
Nic to! straszniejszy pamięć mi odświeża
Fakt! Miałem ja raz szpilkami poprute
Ręce, gdym w braku służebnej, z rycerza
Grzecznością, stroił damę na redutę...
Cóż! szpilki w nią wbijałem jak w motyla
A one wylatywały co chwila! —

63. Głupstwo i to! myśl o tem jest naganną!
Ja bardziej kocham mądrość jak mnie ona,
Być filozofem jest mą nieustanną
Chęcią — równy mi łachman i korona... [1])
Wiedzy nie złapiesz, bo chce zostać panną;... [2])
Czem byłeś, jesteś; czem będziesz, gdy skona
Świat? a dzisiaj czy żyjemy, czyli nie?...
Wszystko to leży w marnych słów dziedzinie.—

64. Głęboka cichość zaległa komnatę;
Blask lamp był blady i jakby omdlały
I snu aniołki chwiały się skrzydlate
Nad każdem ciałem — jeśliby istniały
Duchy, w tej chwili strojne w pyszną szatę
Przyszłyby tu, rozkuwszy grobów skały,
Zamiast się drapać na murów tarasy...
Snaćby duchami były lepszej rasy.

65. Spały w około rozkoszne i śliczne
Jak różnej barwy i woni ogrzane
Ciepłem cieplarni kwiaty egzotyczne,
Troską, mozołem wypielęgnowane;
Jedna pod burnus skryła ciałko mleczne,
Czasem jej drgnęła głowa jak trącane
Wiatrem jabłuszko; spała snem gołąbki,
Cicho — z przymkniętych ust świeciły ząbki.

66. Ta otuliła twarz wieńcem swej ręki,
Krucze pierścienie wzbiły się jak góry
Nad czołem; sen jej był ciepły i miękki,
Uśmiechała się jak księżyc przez chmury
Co idzie, ledwo przysłoniwszy wdzięki,
A otula się w swój płaszcz srebrnopióry,
Kiedy już bliska owa nocy chwila,
Gdy mrok wstydliwy z światłem się przesila.

1) „Kiss“ rhymes to „bliss“ in fact as well as verse —
I wish it never led to something worse.

1) ... to philosophise
On most things, from a tyrant to a tree;
But still the spouseless virgin „Knobeledge“ flies.

67. Nie jest to żadna z mej strony przesada
Bo była noc jak rzekłem wyżej pono. —
Twarzyczka trzeciej była taka blada
Jak twarz śpiącego smutku; tylko łono
Falując zdradza, że w duszy się składa
Przepłakanych a drogich istot grono...
Łza trysła z oczu, na rzęsach zawisa
Jak rosa ranna na listkach cyprysa.

68. Czwarta jak posąg z kamienia wycięty
Leżała bez oddechu, nieruchomie
Biała i zimna jak potok zmarznięty
Albo minaret śnieżny na Alp złomie
Lub w soli żona Lota... Panie święty!
Porównania się mnożą jak po gromie
Echa... więc bierzcie, czerpcie z nich dowoli—
Jeśli wystarczy wam kobieta z soli — [1]).

---

1) ... — perhaps you'll be content
With a carved lady on a monument.

Dokończenie nastąpi.

SZKIGE ETNOGRAFICZNE

I.

PRAKTYKI RELIGIJNE
w Hindostanie.
(podług Grubego).

Przedgangesowy półwysep, liczący 170 miljonów mieszkańców, spiętrzony w północnej stronie najwyższem na świecie pasmem górskiem, obdarzony wszelkim zboża rodzajem i owocami strefy gorącej, największą przedstawia sprzeczność. Ma nader urodzajną ziemię, ale też i niezmierna posucha rozciągnęła tam swoje panowanie.

Jestto słowem świat tworzący dla siebie odrębną całość, tak jak niebieskie państwo jest odrębnym dla siebie światkiem. I jak synowie niebieskiego państwa mają przytępionie uczucie religijne, są nawet dość obojętni, tak przeciwnie Indowie należą do najreligijniejszych ludów kuli ziemskiej, a chociaż ich obrzędy i praktyki religijne zbyt wiele zabierają czasu, a nawet z wielkiemi połączone są kosztami, nie zaniedbują ich jednak i tem gorliwiej je wypełniają im większej wymagają po nich ofiary.

Mahometanie mają tylko dwa święte miasta: Mekkę i Medynę, Indowie zaś odbywają pielgrzymki do wielu miast — a jest ich pokaźna liczba.

Oryssa, tworząca granicę między Madrasem a Bengalem, ma czarną pagodę, która jest celem pobożnych pielgrzymek. Świątynia w mieście *Dżaggarnath* doznaje jeszcze większej czci.

We wnętrzu swojem, kryje ona wizerunek *Krischny* jego brata Schiny, żony i siostry Salhadry. Nietylko samo miasto, ale obszar onego w promieniu 20 mil angielskich jest wolny od wszelkich danin. Dochody tej świątyni są tak znaczne, że można z nich utrzymać rok rocznie około 20 tysięcy pielgrzymów i poważną liczbę kapłanów. Obliczono, że miljon pielgrzymów przybywa rocznie do tej świątyni.

Pomiędzy wszystkiemi świętemi miastami, uważają miasto *Benares* za najświętsze; jest tu także siedlisko indyjskiej uczoności.

Opowiada indyjskie podanie, że miasto to miało być pierwotnie zbudowane ze złota i szlachetnych kamieni. Wszelako w skutek nieprawości mieszkańców, zamienił się pewnego pięknego poranku ów szlachetny naterjał budowlany w ziemię i słomę. Miasto to, nie na zwykłej spoczywało ziemi, ale stało na trójzębie Schiny i było tak uświęconem i świętem, że nawet grzeszni «zjadacze mięsa wołowego,» mogli być pewni wiecznej szczęśliwości, jeżeli w onem świętem miejscu pomarli. Kilka tysięcy pielgrzymów przybywa codziennie do tego miasta, a liczba tych, którzy odbywają swoje modlitwy nad brzegiem świętego Gangesu, wynosi prawie 40 do 50 tysięcy! Ze wschodem słońca spieszą nieprzejrzane tłumy pielgrzymów, zwracają się twarzą ku wschodowi, czerpią dłonią wodę ze świętej rzeki i zlewają trzy razy głowę przed modlitwą. Ogromna liczba kapłanów siedzi na stopniach pięknych wschodów prowadzących na brzeg Gangesu i odbiera ofiary i podarki od wiernych.

Najświętszą świątynią w mieście jest świątynia wcielenia Schiny Visviska. Ażeby wszystkie w niej odbyć ceremonje, potrzebuje każdy wierny dni pietnastu. Alllahabad, mniejsze miasto a oddalone od Benares o 75 mil angielskich uważa się także za bardzo święte i to ma przed innemi pierwszeństwo, że leży przy zlewisku dwóch świętych rzek: Gangesu i Dżumny. Jeżeli Jud użaża za wielkie szczęście umrzeć w falach Gangiesu, to smierć tem jest szczęśliwszą, jeżeli nastąpi właśnie przy owem zlewisku. Takich, którzy się tej podejmują śmierci, błogosławią kapłani (rozumie się, że umierający zapisują poprzednio cały, albo przynajmniej pewną część majątku), następnie przywiązują im u rąk i nóg wielkie gliniane naczynia, mające na dnie delikatne dziureczki i puszczają na wodę. Z największym ducha spokojem odmawiają pobożni fanatycy modlitwy i śpiewają tak długo, dopóki nie zatoną.

Innem znowu miejscem, celem pobożnych a licznych pielgrzymek jest Hurdwar, Gangotri i Kaddernah położone w najgorzystrzej cześci Indyj górnych — a w końcu świątynia *Bhadrinath* ozdobiona pozłacanym szczytem a położona już w granicach śniegu gór Himalajskich.

Owe pielgrzymki wymagające kilku miesięcy czasu, połączone są z wielkiemi wydatkami. Ale Ind nie zraża się niczem, ofiaruje wszystko co posiada, byle tylko potrzebne dostać pieniądze, zaciąga pożyczki na wielkie odsetki, zastawia wszystkie swoje kosztowności i ubożeje w skutek tego na cały swój żywot.

Tysiące pielgrzymów, upadają pod brzemieniem przeszkód owej pielgrzymki a ich trupy stają się pastwą sępów i szakali. Żadna jednak przeszkoda nie odstrasza ich od przedsięwziętej pielgrzymki, a gdy wrócą szczęśliwie w progi domowe, uważają ich sąsiedzi za świętych, wychodzą gromadnie naprzeciw nich, witają z zapałem, ofiarują kadzidło, przynoszą podarki, a nawet modlą się do nich, jako do istot wyższych.

W wiekach średnich wielu było pokutników, którzy się do krwi biczowali, a poddając się dobrowolnie najsurowszym postom i umartwieniom unikali ludzkiego towarzystwa, całymi dniami leżeli na zimnych płytach kamiennych i inne najróżnorodniejsze zadawali sobie umartwienia, aby podbić ciało pod panowanie ducha.

Wszelako umartwień takich, nie można nawet porównać z umartwieniami, jakie sobie indyjski zadaje pokutnik.

Niektórzy stoją ustawicznie na jednej nodze, patrzą w słońce, nie siadają ani opierają się na drugą nogę. Inni wyciągają jedno ramię ku niebu drugą zaś rękę ściskają w pięść nie otwierając jej, chociaż odrastające paznogcie wżerają się w ciało. Inni tarzają się w gorącym piasku, po ostrych kamieniach, przez trzęsawiska i moczarzyska toczą się do jakiej świętej pagody. Inni krają ciało ostremi nożami, przedziurawiają język, albo kładą się nago na deskę obitą gwoździami; bywały nawet takie wypadki, że się ci pokutnicy kazali żywcem pogrzebać. Niektórzy wyciągnąwszy się na ziemi, kazali sobie przysypywać twarz wilgotną ziemią i leżeli tak długo, dopóki posiane ziarnka gorczyczne nie zeszły. Trwało to zwykle dni cztery.

W nowszych zaś czasach rzucały się gromady fanatyków pod koła ciężkiego wozu bogów, ciągnionego przez tłumy, aby się dać pogruchotać. Radośny okrzyk tłumu zagłuszał jęki konających ofiar fanatyzmu. Dzięki zbawiennemu wpływowi misjonarzy i władz angielskich, zwyczaj ten zaginął zupełnie.

Istnieje jednak jeszcze Tscherrek-Pudscha.

Ów obrzydliwy akt pokuty odbywa się na cześć siostry Schiny Parwaddy, zwanej Kali, jako bogini złe czyny karzącej. Pokutnik przedziurawia mięsną część grzbietu dwoma wielkiemi hakami i owija je kawałkami płótna, aby się ciało nie przerwało. Nastepnie przywiązują ofiarę powrozem do haka przymocowanego do poprzecznego belka, obracającego się wolno na polu i wyciągają do góry. Czasami się zdarza, że haki przerywają ciało, nieszczęśliwy pada na ziemię, łamie rękę albo nogę, albo zostaje na miejscu bez ducha. Bujający w powietrzu pokutnik, nie wydaje najmniejszego jęku boleści; trzymając w jednem ręku cytrynę pryska nią na tłumy albo też ciska inne owoce lub kwiaty na gawiedź, która je chciwie chwyta.

Owemu obrzydliwemu aktowi pokutniczemu poddają się ci, którzy chcą uchodzić za świętych; poddają się także bracia za zdrowie sióstr, mężowie za zdrowie żony, matki za zdrowie synów.

W ten tylko sposób mogą ubłagać boginią Kali....

Fr. Ksaw. Mroczko.

O WYNALAZKACH.

Pogadanka humorystyczna.

Treść: przekleństwa na wynalazców — Wynalazki szkodliwe — Wynalazek okropny — Pralnia literacka. Zastosowanie do kompromitujących przyrzeczeń i listów romansowych — Lekarstwa teraźniejsze i dawniejsze— Moja febra — Pop w Starobinie — Jego lekarstwo z pogróżkami — Zbadanie szarlatanerji — Tłumaczenie się popa — Zapicie sprawy.

Wynalazki! Wynalazki! Kiedyż będzie im koniec? Oby ten światła nie oglądał, kto pierwszy wynalazł wynalazki! W dobiegającem stuleciu niema roku, dnia, godziny nawet, aby ktoś czegoś nie wynalazł! Samo bióro patentowe (Pantent Office) w Waszyngtonie wydaje rocznie górą 15.000 przywilejów na nowe wynalazki. Ale uderzmy się w piersi i powiedzmy szczerze: czy którybądź z nas, choć raz w życiu nie popełnił wynalazku? Ja sam mam ich aż dwa na sumieniu, z których jeden nawet patentowany! Ale moje wynalazki aczkolwiek pożytku ludzkości nie przyniosły, nikomu przecież nie zaszkodziły.

Ale są wynalazki szkodliwe: do tylu utrapień dręczących ludzkość, przydały nowe. Sądzicie może szanowni czytelnicy, że mam na myśli mitrajlezy, które nie obroniły Francji w wojnie z Niemcami; albo działa Uchatjusa, które zjawiły się, niby łyżka po obiedzie, po bitwie pod Sadową? Ale to są bagatele. One spowodowały kalectwo lub kosztowały życie setkom, najwięcej tysiącom naszych bliźnich! Ale popełniono obecnie w Ameryce wynalazek straszny, straszniejszy, niebezpieczniejszy od wszystkich dotychczasowych. Bo choć «nie zabija od razu,» choć nie zagraża naszemu życiu doczesnemu, które jest w porównaniu z wiecznością, mniej niż chwilą...—ale grozi naszej, to jest autorskiej, nieśmiertelności!!! Biedniż my, biedni pisarze, dziennikarze, autorowie! Oto nasza miłość własna poddaną została nowej, okropnej próbie. Polegaliśmy dotąd na zdaniu *scripta manent*, święcie wierząc w trwałość wiekuistą naszych pisanych lub drukowanych arcydzieł... Próżne to było, choć słodkie marzenie!

Ja sam wyobrażałem sobie niejednokrotnie potomność—choćby tylko za lat parę tysięcy — pochyloną i odczytującą czasopisma, w których moje korrespondencje, kroniki, podróże, powieści etc. malowały daleką, najdalszą przeszłość; lub czytającą z pewnym, pobożnym nastrojem ducha utwory nietylko moje lecz i moich dawniejszych, a nawet teraźniejszych kolegów po piórze od ś. p. Herodota do ś. p. Rożbickiego włącznie!

Jakież było moje rozczarowanie, kiedym niedawno wyczytał w amerykańskiej gazecie, że jakiś nieszczęsny wynalazca — zapewno w prostej linji potomek Herostrata lub Omara — wynalazł papier, z którego z największą łatwością można będzie zmyć wszystko, co napiszemy. Ten papier wszelki nasz utwór na siebie przyjmie, ale — nie zachowa. Wystarczy posłać go na chwilę do pralni literackiej, aby wszystko co na nim napisano lub wydrukowano — znikło bez śladu, zostawując czyste miejsce do ponownego pisania lub drukowania.

Jakaż to boleść, jakie poniżenie widzieć swoją prozę lub rymy, manuskrypt lub druk, niesione do pralni wespół z fałszywemi kołnierzami, zabłoconemi szkarpetkami lub chustkami zatabaczonemi! Pływać z niemi razem w balji jakiejś Maryanny!. A więc mydło zastąpi niezbyt dawne jeszcze stosy, praczka kata! Któżby z nas nie wolał, aby jego utwory były spalone publicznie na rynku, niż namydlone i zmyte? O naturaliźmie, naturaliźmie! wdzierasz się do wynalazków nawet!

Skoro jaka książka uznaną zostanie przez jaką prokuratorję za szkodliwą lub niedogodną — jak to się niedawno stało w Austryi z dziełami Zoli — zabierają się wszystkie egzemplarze, posyłają się do pralni literackiej, tam je wymyją, wypłóczą i czysty papier odeszlą nakładcy.

Niema wprawdzie nic tak złego, w czemby się nie mieściła choć odrobina dobra. Każda trucizna zawiera pierwiastki lecznicze. Tak się też dzieje i z tak groźnym dla nas, autorów, wynalazkiem.

Pod rządami parlamentarnemi, wszelkie wyznania wiary, właściwie zasad kandydatów, wszelkie przyrzeczenia poczynione wyborcom, z łatwością mogą być zniszczone, jeden deszcz nawalny — i po wszystkiem. Ani śladu nie zostanie.

Dla korrespondencyj tak często kompromitujących płeć piękną wynalazek ten także może się okazać pożytecznym. «Panie— napisze zapewno niejedna z opuszczonych — wiem, że jesteś człowiekiem honoru. Ponieważ wszystko między nami skończone, spodziewam się, że sam osobiście zechcesz namydlić, wyprać i wypłókać wszelkie moje listy do siebie pisane. Polegam na pańskim honorze...» I z pisaniny ani śladu! Nie trzeba nawet odsyłać listów przez *pewną okazję*, chyba po wymyciu. Jakie to szczęście, że w czasach Abelarda i Heloizy wynalazku tego nie znano.

Ale mniejsza z tem: przechodzę do mego pierwotnego założenia. Biedni my autorowie! Toż to wypłatano nam fatalnego figla! Jak temu zaradzić!? Uzbrójmy się chyba filozofją; udawajmy, że nic o nowym wynalazku nie wiemy i postępujmy dotychczasową drogą, jak gdyby ta niewdzięczna chemja, której nigdyśmy nic złego nie zrobili — nie stała nam na zawadzie.

Wszakże nie wszystkie wynalazki bywają tak zgubne, tak fatalne jak wyżej wymieniony. Zdarzają się między niemi i pożyteczne. O jednym z takowych, którego zbawiennych skutków na sobie doznałem, zamierzam wam opowiedzieć:

Obecnie kolumny dzienników, szczególniej cudzoziemskich, przepełnione są ogłoszeniami o lekarstwach na wszelkie choroby i niektóre inne, ale ta sama mnogość lekarstw wytworzyła, że żadne z nich nie stało się *modnem*. Ani *Papier Wlinsi*, ani *L'huile st. Jacob*, ani *Vin de quinina ferrugineux*, ani *Specifique de Lydia Pinkham* — bez którego, jak powiada ogłoszenie — żadna panna, mężatka, rozwódka lub wdowa, nie może być zdrową i piękną— ani setki, nawet tysiące innych lekarstw, nie pozyskały takiej sławy, takiego rozgłosu, aby stały się *modnemi*. Tymczasem przed kilku dziesiątkami lat, mieliśmy mniej ogłoszeń, ale za to były lekarstwa *modne*. Niech sobie starsi czytelnicy przypomną jak było w modzie *Le roi* w pierwszej połowie bież. stulecia. Potem pigułki Morisona, które zaćmiły zupełnie również skuteczne, choć niemodne nasze poczciwe pigułki krzemienieckie. Prócz tego mieliśmy lekarstwa prowincjonalne, powiatowe, parafjalne. Były osoby, które *niezawodnie* posiadały sekreta leczenia od niektórych chorób. W sąsiedztwie mojem mieszkała staruszka skutecznie ecząca od róży. W wilejskim powiecie była, a bodaj że jest dotąd rodzina obywatelska, posiadająca kamień, jakoby niechybnie leczący od wścieklizny. Ja sam znam ziółko — tylko nie wiem jak się ono uczenie nazywa — skuteczne od ukąszenia żmij, gadziny, padalca; tak dla ludzi jak i zwierząt.

Ale oddalam się od rzeczy.

W sąsiedztwie mojem, wszakże już na Polesiu, mieszkał niegdyś pop prawosławny, który *wynalazł* lekarstwo od febry (febris intermittans) choroby bardzo upowszechnionej na Polesiu Litew-

skiem. Popie lekarstwo kosztowało ni mniej ni wiecej jak *dwa złote* polskie. Odbyt był ogromny, przynoszący znaczny dochód wynalazcy. Kupowali nietylko chorzy, ale i zdrowi — na zapas. A wszyscy wierzyli w pomyślny skutek; — tylko trzeba było postąpić *stricte* wedle przepisu.

Zdarzyło się pewnej wiosny, że jeżdżąc na błota poleskie na słomki, nabawiłem się febry — zimnicy. Dręczyła też mię ona niesłychanie. Naprożno używałem najwstrętniejszych lekarstw, doradzanych mi przez osoby różnych płci, wieku, stanu i wyznań; naprożno wyrzekłem się na czas mojej choroby ryb i mleczywa; naprożno sprowadziłem taki zapas chininy, że wystarczyłby dla wyleczenia od febry słonia lub wieloryba; — wszystko naprożno: febra co drugi dzień mię nawiedzała. Znudziło to mię niepomału, a może bardziej jeszcze moją staruszkę od niepamiętnych czasów piastującą godność ochmistrzyni w naszym domu.

— Julka — mówiła poczciwa staruszka, tak mię od dziecka nazywając — toż ta febra ciebie na śmierć zatrzęsie. Te wszystkie babskie i doktorskie lekarstwa na nic się nie zdały. Trzeba użyć coś pewniejszego. O pięć mil ztąd, w Starobinie, mieszka pop syzmatycki, który sławnie leczy od febry sympatycznem lekarstwem. Trzeba mu tylko posłać *dwa złote*, a on przyszle lekarstwo i przepis użycia.

Nie wiem cobym na to odpowiedział w zdrowym stanie; ale w paroksyzmie machnąłem tylko ręką i wymruczałem:

— Róbcie sobie, co chcecie; tylko dajcie mi święty pokój.

Nie upłynęła doba, gdy weszła do mojego pokoju poczciwa staruszka, niosąc tryumfalnie w ręku tasiemkę, do której w pośrodku był przytwierdzony papierowy pakiecik, mocno opieczętowany. Wszystko to miało pozór i formę szkaplerza.

— Widzisz jak się sprawiłam — mówiła rozpromieniona staruszka. Wczora posłałam Mykitę i już jest z powrotem i z lekarstwem. Trzeba tego zaraz użyć.

— Cóż to? Jakiś nowy proszek?

— Ale gdzie tam! Już cię przeładowali proszkami te przeklęte doktory — konowały. To jest lekarstwo sympatyczne od popa ze Starobina. Zupełnie niewstrętne, jak ten sok wyciśnięty z runi, co aż mnie samej było przykro patrzeć jak się krzywiłeś popijając. I cóż: nic nie pomogło,—a to co ci przynoszę i nie przykre i napewno pomoże. Pop starobiński robi na tem fortunę. Co rok kilkaset osób kupuje u niego to lekarstwo, płacąc po dwa złote ni mniej ni więcej. Jak przyjdzie wiosna, to jego żniwo, które trwa aż do zimy.

Dobre to wszystko; ale co ja mam robić z tym fantem?

Co masz robić? Zaraz ci powiem: przysłali przepis. Włóż to na siebie pod koszulę, niby szkaplerz, i noś dopóty aż febra ustanie i przez dwanaście dni nie powróci. Potem każesz zapalić w piecu czy na kominku, zdejmiesz ten pakiecik razem z tasiemką i sam własnoręcznie spalisz nie otwierając i niepatrząc co się w tym pakieciku zawiera; bo gdybyś przypadkiem lub przez ciekawość zajrzał, to febra niezawodnie powróci, sprowadzając za sobą kołtun i tuzin innych chorób, które cię zamęczą na śmierć.

Pod taką groźbą gotów byłem wyrzec się niebezpiecznego lekarstwa; ale nie tak to łatwo było z moją staruszką, kiedy co postanowiła. Zawiesiłem więc na piersiach amulet.

Febra musiała być uporczywą, bo pomimo, żem ją od czasu od czasu traktował chininą, pomimo żem zachowywał niezbędną w tej chorobie dyetę, — nie opuszczała mię aż do nastania lata, które w owym roku zdarzyło się suche, ciepłe, pogodne. Nareszcie przeszło dni kilka, cały tydzień, dwa tygodnie i paroksyzm się nie zjawiał: wypadało więc przystąpić do całopalenia lekarstwa. Miało się to odbyć po południu, *pontificaliter*, pod przewodnictwem ochmistrzyni.

Rozpalono więc suty ogień na kominku w garderobie, zawezwano mię, i już miałem wrzucić do ognia tak skuteczny amulet... gdy oznajmiono ochmistrzyni, że jastrząb wpadł na folwark podusił faworytalne jej kurczęta kałakuckie! Gdyby grom był uderzył wśród nas, stojących przed kominkiem, mniejszeby wywarł wrażenie na staruszkę, niż ta okropna wiadomość o zbrodni jastrzębia! Plamsła więc w ręce i z krzykiem rozpacznym: «Ja nieszczęśliwa» — pobiegła na folwark; nie dlatego wprawdzie, aby przeszkodzić zbrodni, która już była faktem dokonanym; nie dla ukarania zbrodniarza, który już wysoko bujał w powietrzu; lecz dla nawymyślania mu przynajmniej.

Za ochmistrzynią pobiegli inni służący i ja zostałem sam jeden z febrycznym amuletem w ręku i z niepohamowaną ciekawością w umyśle. Obejrzawszy się raz jeszcze, że świadków niema, — zuchwale porwałem nóż i ostrożnie rozerżnąłem pakiecik papierowy! Z początku myślałem, że był pusty; ale po szczegółowszem rozpatrzeniu, odkryłem w nim — niby listek w kopercie — małą kartkę z następnym, skreślonym ołówkiem, dwuwierszem:

«Pomoże, nie pomoże,
«A dwa złote zapłać nieboże.»

Oburzony, żem się stał igraszką szarlatana i przez kilka tygodni nosił jego amulet — wrzuciłem wszystko do ognia.

W kilka lat potem przejeżdżając przez Starobin wstąpiłem do popa, nie tyle aby go poznać, jak dla zrobienia mu wyrzutów za jego lekarstwo, którem ludzi i nadużywa zaufania swoich pacjentów. Kiedym się przyznał, żem zbadał jego sekret i wiem co o nim trzymać, — pop mi na serjo odpowiedział:

— Przysięgam panu na wszelkie świętości, na zbawienie mojej duszy, że moje szarlatańskie — jak pan je nazywasz — lekarstwo, rzeczywiście leczy od febry — zimnicy najmniej sto osób rocznie; rozumie się tych, którzy je noszą z pełną wiarą. Gdybym je rozdawał darmo — mniejby wierzono i mniej byłoby skutecznem. Pan sam, jak wyznajesz, zostałeś niem wyleczony; jeźli nie mój amulet, to «wiara cię uzdrowiła.»

— Tak, ze sporą dozą chininy — odparłem śmiejąc się. Zapiliśmy tę sprawę starym miodem maliniakiem i — zostaliśmy przyjaciołmi o tyle, o ile może być przyjaźń między litwinem a popem carskosławnym. *Juljan Horain.*

Zapiski T. Lipińskiego

Ciąg dalszy.

Nie słychać, aby kogo w mieście uwięziono, ale z prowincyi zwożą nowe ofiary — widziałem naocznie przybywający transport z oskarżonymi, czyli podejrzanymi. Ostrożność wielka jest zachowana przy dostawieniu onych; kozak na koniu poprzedza konwoj, za nim postępuje powóz, w którym znajduje się aresztowany, obok niego siedzi oficjalista pocztowy; za nimi w osobnym powozie jadą dwaj żandarmy.

Dnia 12 przybył tu powracający z Petersburga arcyksiąże Ferdynand d'Este, synowiec cesarza austr., ten sam, który był na czele wojsk w wojnie 1809 r. i pod Raszynem zbity został. Wysiadując w zamku, został przyjęty przez W. Ks.

Od dni kilku kościół katedralny jest zamknięty, z powodu czyniących się przygotowań do obrzędu pogrzebowego ś. p. cesarza. Obchód ten z wielką okazałością ma się odbyć 4 b. m. W tych dniach uda się deputacja od różnych stanów do Petersburga, dla złożenia hołdu N. Panu.

Dnia 13 arcyksiąże Ferdynand znajdował się na paradzie w bogatym ubiorze cesarskim. Dnia tego ujrzeliśmy po raz pierwszy na naramiennikach i szlifach litery: A, w pierwszych kompaniach gwardyi, tak pieszej jak i konnej, których ś. p. cesarz był szefem, a które się zwały cesarskiemi. Teraz nam panujący zalecił, aby te znaki póty noszone były, dopóki choć jeden oficer lub żołnierz w służbie zostawać będzie, od chwili zgonu ś. p. cesarza.

D. 14 przy nader pięknym dniu, odbyła się wielka parada. Cały garnizon wystąpił pod bronią zająwszy przestrzeń od Zygmunta do aleów. Arcyksiąże Ferdynand w tymże co i wczoraj ubiorze, mając przy sobie kilku równie bogato ubranych ze swej świty, czynił przegląd wojska, poczem cała załoga defilowała na placu Saskim. W. Ks. miał na sobie wstęgą orderu św. Leopolda.

Dnia wczorajszego przedstawiony był arcyksięciu senat.

Dnia 15 nawiedził arcyksiąże panią Rozalię Rzewuską i był z swoją świtą na herbacie u wdziny Stanisł. Potockiej. Po jego oddaleniu się, zapytała gospodyni jednego z pozostałej jego świty, czy nawiedził arcyksiąże panią Zamojską — na co otrzymała odpowiedź: qu'elle n'est pas sur la liste des visites de l'Archiduc. Ztąd wielki tryumf, zwłaszcza, że pani Zamojska żyła w ścisłej przyjaźni z nieboszczką cesarzową austr. a siostrą arcyksięcia Ferdynanda.

Dnia 16 około godziny 6 rano, opuścił arcyksiąże Warszawę, udając się na Kraków. W. Ks. przed godziną 5 przybył do zamku na pożegnanie arcyksięcia. W jego świcie znajdowali się: jenerał Dufour, pułkownik kiras. baron Klam, rotmistrz huzarów Landgraf Firstenberg, porucznik huzarow ks. Lichtenstein, szambelan Wastendorf, sekretarz Swoboda, lekarz Polaczyk.

Wielkie czynią się przygotowania do obrzędu pogrzebowego ś. p. cesarza. Uroczystości podobnej dawno Warszawa nie widziała, przeto wszyscy nią tylko zdają się być zajęci. Częste odbywają się parady w celu urządzenia całej tej ceremonji, przepisania porządku itd. Liczna orkiestra, odbywa próby — a że w tych czasach żadnych nie ma zabaw, ani zgromadzeń, przeto sala konsewatoryum muzycznego, zawsze jest przepełniona słuchaczami.

Z badań uwięzionych akademików, okazały się same dziecińswa — zgromadzili się wprawdzie, ale w celu palenia fajek, byli wesołej myśli, tworzyli rodzaj burszowstwa; oto cała ich wina. Jakoż wypuszczeni zostali niektórzy, lecz za to nowych pobrano.

Dia 24 wyjechała do Petersburga deputacja dla złożenia hołdu cesarzowi. Składają ją następujące osoby: Ks. Drucki Lubecki minister skarbu, w assystencji Ludwika Jelskiego i Adama Łęckiego refer. nadzw.; biskup Płocki Prażmowski w assystencji Paszkowicza kanon. krak. Aleksan. Bniński kasztelan, Józef Krasiński szambelan i poseł Błoński; od stanu kupieckiego Kuzniczów.

Najmniejszej wiadomości nie mamy o komisji śledczej, zdaje się jednak, iż postrach ten na nas rzucony, szczęśliwy weźmie koniec — i tak dnia 25 uwolnieni zostali: poseł kaliski Kaczkowski i Bortkiewicz kapitan gwardji grenad.

Dnia 25 odbyło się w kaplicy zamkowej w przytomności W. Ks., wojskowych i władz rządowych nabożeństwo za duszę ś. p. cesarza, którego pogrzeb dnia tego odbywał się w Petersburgu.

Wydrukowano obszerne programa uroczystości pogrzebowej. Ciągła niepogoda tu panuje, a 4 kwietnia tuż się zbliża. Wezwani zostali posłowie, senat, rady wdzkie i prezesi wszystkich władz, aby byli na dniu pogrzebu.

Kwiecień. Księża Franciszkanie upoważnieni reskryptem ministra W. i O., od dwóch miesięcy zaczęli zbierać ofiary na beatyfikacją Rafała Chylińskiego, którego ciało leży w Łagiewnikach w obwodzie Łęczyckim. Już przed laty rozpoczęty był proces względem uczynienia go świętym, spisane i sprawdzone były jego cuda i odbywały się odpusty. Brak funduszów przerwał był dalsze zachody. Znajdujący się w Rzymie Rakietty sekretarz jlny kom. W. i O. wznowił ten proces i rzecz całą popierał u Ojca Ś. Wydali przeto Franciszkanie odezwę do pobierania pobożnych składek dla uczynienia świętym Rafała Chorążego za czasów Jana III. Aliści w z. m. wydał Namiestnik reskrypt do kom. W. i O. naganiający jej postępek w mocnych wyrazach, zalecając wstrzymać dalsze zbieranie składek w kraju i tak ubogim w pieniądze; wyraził przytem: iż teraz religja zasadza się więcej na cnotach chrześćjańskich, miłosiernych uczynkach i t. d. niż na tworzeniu nowych świętych.

Uwięziony ks. Jabłonowski okazuje się najnikczemniejszym, najpodlejszym — uwikłał wiele osob i t. d. Temi dniami badany porucznik z 6 pułku Sabiński, do niczego się nie przyznając, zażądał, aby był stawiony ten, kto go oskarżył i zarzucił jego zbrodnicze postępki. Komisja wymienia mu Ks. Jabłonowskiego, którego natychmiast stawiono. Tu Sabiński w mocnych wyrazach gromi potwarcę, we wszystkiem fałsz mu zadaje, w końcu rzuca się na niego, daje mu policzek, drapie, szczypie i oko chce mu wyłupać, aby był znaczny z swej niegodziwosci. Zaprowadzony Sabiński do swej celi, powiesił się na drzwiach.

Z więzionych uwolnieni zostali: adjutant W. Księcia Micielski i Ksaw. Ogiński. Słychać, iż kilku zostało okutych w kajdany i mają być do Petersburga posłani.

Nadszedł dzień 4, ale dla ciągłej niepogody, uroczystość została odłożona do 7, a w dzień ten, choćby i ulewa była, ma się odbyć pochod pogrzebowy z polecenia W. Ks. W dniu tym nadesłano z Petersburga ordery zagraniczne s. p. cesarza, po odbytym tamże pogrzebie, a tak powiększy się orszak i nabierze większej okazałości.

Dnia 6 przybył tu pułkownik Abrahamson, adjutant króla Duńskiego powracający z Petersburga.

Mimo niepogody dzisiejszej, jutro odbędzie się niezawodnie uroczystość pogrzebowa, zwłaszcza, że i w Petersburgu podczas słoty wprowadzano zwłoki ś. p. cesarza. Właściciele domow i lokatorowie mieszkający przy ulicach, którędy orszak będzie przechodził, wynajmują okna za znaczne wynagrodzenie.

Dnia 7 odbyła się oczekiwana uroczystość, podług przepisanego programatu. Wytrzymywała pogoda dość długo, lecz o godz. 11 deszcz lać zaczął i wszyscy do kości przemokli. Opisywać jej nie będę, gdyż w pismach publicznych umieszczona będzie, niektóre tylko okoliczności nadmienię. Smutne uczynił wrażenie na każdym początkowy jej pochod, odgłos trąb chrapliwy, spuszczona broń i pałasze jazdy, cechy w początku postępujące, liczny stan kupiecki i niektore biora w zupełnym swym składzie. Lecz nie tyle, ile się słusznie spodziewać należało, sprawił wrażenia pochod z insygniami i orderami — a to z powodu niedobrze zachowanego porządku. Wszyscy niosący je i otaczający mary cesarskie, tak byli skupieni i pomięszani, iż nie można było dobrze rozeznać i objąć jednem rzutem oka. Prowadzony koń cesarski był zrazu przybrany a okryty czarnem suknem, co W. Ks. Kazał zdjąć i prowadzić go tak, jak ś. p. król nasz zwykł był siedzieć. Tuż za marami jechał konno W. Ks. mając przy sobie adjutanta króla duńskiego i jener. Wincentego Krasińskiego. Wielu posłów z powodu odroczenia ceremonii opuściło Warszawę dla braku funduszów, złożywszy jednak swe usprawiedliwienie.

Uczniowie Uniw. wcale nieprzyzwoicie się znaleźli przez cały czas; wystąpili niedbale ubrani, szli w nieładzie itd., słowem, że wszystkim się to nie podobało. Profesorowie Uniwer. poprzedzeni przez dwóch szwajcarów strojnie ubranych, sami zaś w togach i biretach, zwracali wszystkich na siebie oczy i do dziwacznych domysłów byli przedmiotem. Pierwszy bowiem raz ujrzała ich publiczność — jedni utrzymywali, że to są księża szyzmatyccy, drudzy, że to rabini, sędziowie itd. c. d. n.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Zorjan. Fragmenty z życia, trzy nowelle. Lwów 1882.

Pan Zorjan posiada talent, dużo uczucia, lecz mało jeszcze znajomości życia i brak studjów psychologicznych. Trzy jego nowelle najwyraźniej mówią o tych zaletach i wadach młodego pisarza.

Najlepszym z tych utworów jest pierwszy: Lena. Dziecko prowadzi do ołtarza ojca i matkę, których rozdzieliło nieporozumienie, a skojarzyła miłość dziecięca. Rozejście się dwojga ludzi, którzy zbłądzili, ale ze szczerego uczucia, bardzo słabo jest umotywowanem, za to spotkanie się ich i pogodzenie przy łóżeczku słabego dziecięcia artystycznie pojęte i przeprowadzone. Zakończenie bardzo proste, ale w prostocie swojej poetyczne.

Gdyby „Złamane życie," druga nowella pana Zorjana, nie było osnute na tyle razy wyszywanej kanwie zawiedzionej miłości i dodać trzeba bardzo podobnemi kolorami wyszywanej — tobyśmy nazwali je wcale zręcznym szkicem.

Za to mniej podoba nam się „Nawrócona." Jestto historja córki wyrobnika, którą po śmierci matki zaopiekowała się jakaś kobieta mająca stosunki z wyższym światem. Musia (takie imię bohaterki) dostaje się w końcu na salony, wychodzi za mąż, bawi się, porzuca męża i przy umierającym ojcu w szpitalu jest... siostrą Magdaleną. Wplątana w to jest także miłość do niej młodzieńca, który kończy życie z obrazem w duszy płochej dziewczyny. Wszystko to byłoby dobre, gdyby choć cokolwiek psychologicznie umotywowane. Początek nowelli jest nawet bardzo ładny, ale dalszy ciąg kuleje na ten brak motywów. Autor wygląda na kronikarza, który zapisuje fakta i daty, ale nie wiąże ich z sobą. Musia została siostrą Magdaleną — bardzo pięknie, ale dlaczego? Jaki proces duchowy doprowadził ją do zerwania ze światem? Wszakżeż przeprowadzenie tego w powieści byłoby najciekawszem, bo powieść powinna fotografować nietylko ciało, nietylko wypadki, nietylko naturę, ale i wnętrze duszy. To jest jej główne zadanie, zbyt przez p. Zorjana lekceważone.

Samo to, że piszemy o nowellach pana Zorjana dowodzi, że widzimy w nich błyski talentu, gdyż rzeczy bezwartościowe pomijamy milczeniem. Dostrzegliśmy także dosyć uczucia, a to połączone ze zdolnościami pisarskiemi daje niejaką podstawę do twierdzenia, że p. Zorjan jest na drodze prowadzącej do gościńca powieściopisarskiego, do którego życzymy mu zdążyć jak najprędzej.

Album muzeum narodowego w Rapperswyllu. Wieniec pamiątkowy półwiekowej rocznicy powstania listopadowego, zeszyt trzeci. Rapperswyll 1882.

Jestto dalszy ciąg nadzwyczaj pożytecznego wydawnictwa, będącego zbiorem życiorysów uczestników powstania listopadowego. Zeszyt trzeci obejmuje życiorysy: Alfreda Młockiego, Mieczysława Darowskiego, Jana Nepomucena Janowskiego, Franciszka Bobińskiego, Adolfa Skarbka Malczewskiego, Emiljana Bednarczyka, Jana Wincentego Mazurkiewicza, Walentego Milewskiego, jenerała Antoniego Klimkiewicza, Wojciecha Śmiałowskiego i Edmunda Krasickiego.

Najciekawsze i najobszerniejsze są życiorysy dwóch pierwszych. Życiorys Młockiego rozwija się na tle powstania 1831 r., wypadków 1848 r. oraz walk stronnictw w Galicji w najbliższych nam czasach. W życiorysie Darowskiego znajdujemy szczegóły o tajnych stowarzyszeniach młodzieży krakowskiej przed r. 1831, o demokratycznym związku „dwudziestu jeden," zawiązanym przez Goszczyńskiego, do którego należeli: Pol, Bielowski, Siemieński Lucjan, Ksawery Krasicki itd. o dalszym ciągu tegoż towarzystwa w Krakowie, gdzie znowu należeli: Kremer, Zyg. Helcel itd., wreszcie o wypadkach 1846 r.

Do dziejów emigracji ważnym jest życiorys Jana Nepomucena Janowskiego, znanego publicysty. Do dziejów zaboru pruskiego znajdujemy szczegóły w biografjach Adolfa Malczewskiego i Bednarczyka. Inne życiorysy mniej ogólnego budzić mogą zajęcia.

Serdecznie podziękować trzeba autorowi, że z całą sumiennnością i wielką pracą gromadzi tak cenne materjały do naszych dziejów porozbiorowych. Cicha to zasługa, więcej jednak przynosząca owoców niż badania na szeroką skalę, lecz na wązkich jednocześnie podstawach serca i nauki.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Literackie i naukowe.

Do Akademji Umiejętności nadesłano z Warszawy: „Elaborat ortograficzny, wypracowan pod kierunkiem redakcji Biblioteki Warszawskiej."

— *A. A. Kryński* przedłożył Akademji pracę: Gwara zakopańska, studjum djalektologiczne.

— Prof. *Włoszek* w Warszawie odpisuje w archiwum koronnem warszawskiem „protokół posiedzeń Towarzystwa do układania ksiąg elemetarnych" od pierwszego w r. 1775 do ostatniego.

— *M. Bałucki* rozpoczął pisać komedję: Gęsi.

— Biblioteka Warszawska drukuje rozprawę *Wł. Nehringa* „o kierunkach nowej literatury polskiej."

— Ateneum drukuje ciekawe pamiętniki *Leona Dembowskiego.*

— Mylnie nazwaliśmy w zeszłym Nrze autora powieści „Pierwszy romantyk" *Rembowskim.* Pseudonim *Aër* ukrywa kogo innego.

— Gazeta krakowska zamienia się od Lipca w pismo codzienne. Fejleton objął *Z. Sarnecki.*

— *Stanisław Grudziński,* sympatyczny poeta i publicysta, opuścił na czas pewien redakcję Tygodnika Powszechnego, wyjeżdżając na czas dłuższy z Warszawy dla poratowania zdrowia.

— Kurjer codzienny zapowiada druk nowej powieści *T. T. Jeża.*

— „Przegląd tygodniowy" pomieszcza obszerny artykuł p. t. Stańczyki.

Umieszczone w zeszłym Nrze Przeglądu tłomaczenie nowelli Jokaja „Przgyody mojej gruszki" przedrukował Kurjer codzienny.

— Wyszedł „Patrjotyzm w Polsce" przez Dra Izydora Dzieduszyckiego. Ocenę tej sympatycznej pracy damy w przyszłym Nrze.

— Dr. *Wilhelm Creiznach* docent uniwersytetu lipskiego został po Dr. ks. Bratanku profesorem języka i literatury niemieckiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Podobno między Polakami kandydatów nie było, choć moglibyśmy wymienić kilku pracowników prawie specjalnie zajmujących się literaturą niemiecką i którzy już położyli pewne na tem polu zasługi.

— Profesorem historji kościelnej przy Wszechnicy Jagiellońskiej został ks. *Wł. Chotkowski.*

— P. *Jan Leciejewski* w Wrocławiu otrzymał tytuł doktora filozofji, obroniwszy rozprawę „Die Sprache des Florianer Psalters I. Theil Sprachlehre."

Z dziedziny malarstwa, rzeźby, muzyki, teatru i architektury.

— W Poznaniu utworzyło się kółko artystyczne, które zamierza zająć się urządzeniem perjodycznych wystaw artystycznych pojedyńczych arcydzieł dzieł polskich mistrzów, oraz zbiorowych ich prac.

— *Brandt i Chełmoński,* na wystawie paryzkiej, otrzymali „zaszczytne wzmianki" (Mension honorable).

— *Siemiradzki* wyrysował karton do obrazu, przedstawiający obrządek spalenia zwłok słowiańskiego wodza, z którego szczątkami ma spłonąć jego wdowa.

— P. Karol *Matuszewski,* może jedyny u nas poważny krytyk sztuki, pomieszcza w Bibl. Warszawskiej „Pogląd na prace naszych rzeźbiarzy." Zaczyna od Malińskiego i Wł. Oleszczyńskiego, któremu oddaje należne pochwały. Natomiast dość surowo a całkiem sprawiedliwie ocenia niewielki, choć reklamowany talent Brodzkiego.

— Warszawa przyjmuje z zapałem p. *Marję Sittównę,* primadonnę teatru czeskiego.

— Następujące dzieła francuzkie tyczące się sztuki i jej historji opuściły w ostatnich miesiącach prassę:

Henry Haward, L'Art à travers les moeurs. Illustracje C. Goutzwillera. Paryż in 4to 25 fr.

Paul Lacroix: XVII. siècle, lettres, sciences et arts (France 1500—1700). Dzieło ozdobione 17 chromolitografjami, 300 drzeworytami i t. d. Paryż. 30 fr.

Vachou. L'Art pendant la guerre 1870 – 1871. Strasburg, les musées, les bibliothèques et la cathèdrale. Paryż 10 fr.

Etienne Parrocel. L'Art dans la Midi. Marsylja.

Mathias Duval. Précis d'anatomie à l'usage des artistes. Paryż 3 fr. 50 ct.

Henry Haward: Histoire de la peinture hollandaise. Paryż 3 fr. 50 ct.

Gabriel et Adrien de Mortillet: Musée préhistorique. Photogravures Michelet. Paryż 35 fr.

Théophille Roller. Les Catacombes de Rome. 2 tomy in 4to, sto rycin.

John Evans. L'Age du bronze; Instruments, armes et ornements de la Grande Bretagne et de l'Irlande. Tłomaczenie francuzkie W. Battiera. Paryż 15 fr.

Do tego Nru dołącza się rysunek J. Krzesza: Rotmistrz pancerny, oraz autograf Fr. Knjaźnina.

do
Konstancyi
z Narbuttów
Dembowskiey.

Raczyły na syna Ziemi
Oczema rzucić boskiemi,
Abym ich uczuł ponętę,
Gracye święte!

Obok dla ciebie spleciony
Rozmaryn wiecznie zielony,
S świeżą zlany ich rosą,
Rymy me niosą.

Co Muza moia tu śpiewa,
Czuiesz to lepiey szczęśliwa.
Orenia brzmienie tey liry
Dusza Temiry!

Gdy to wysokie tu dzieło
Zgodnie obrazy natchnęło,
Iak słońce rozpłod radosny
Zielony wiosny.

Droższa pamiątka i miła,
Co zacna Helinwie zrobiła
Z uśmiechem winnym pieszczocie,
Wdzięcznym i cnocie!

F. Kniaźnin
Fkoz

DEDYKACJA POEMATU „ROZMARYN”

PRZEZ F. KNIAŹNINA

(AUTOGRAF ZE ZBIORÓW K. BARTOSZEWICZA.)